

W: Zawód adwokata przypomina zawód lekarza. Przychodzi klient, pan już z telefonu coś tam wie o jego sprawie, ale po drodze załatwiał pan kilka innych. Klient zaczyna mówić. Kiedy pan wkracza?

JERZY NAUMANN: Zadaniem lekarza jest zdiagnozowanie choroby i wdrożenie leczenia, przy czym niebagatelną rolę odgrywa dbałość o pacjenta, któremu trzeba zapewnić komfort psychiczny. Dlatego mówimy o pomocy medycznej i opiece lekarskiej. Choć pracę lekarza sprowadzono do poziomu świadczenia usług, to wymiaru powołania i służby lekarskiej nie da się pomniejszyć. Z kolei zadaniem adwokata jest udzielenie klientowi pomocy prawnej, która polega na obronie jego szeroko rozumianych interesów w warunkach budzących zaufanie, że są dogłębnie właściwie i sumiennie. Tak więc pomoc adwokacka polega nie tylko na umiejętnym prowadzeniu sprawy, ale także na wytworzeniu swoistej więzi wzajemnego zaufania między adwokatem a klientem.

W jaki sposób?

Potrzebna jest uczciwość w przedstawieniu szans, czasu trwania procesu, kosztów, a przede wszystkim – faktycznej sytuacji prawnej i tego wszystkiego, co może zagrażać oczekiwanemu przez klienta pomyślnemu finałowi. Różnica między lekarzem a adwokatem polega na tym, że uczciwie pracujący adwokat nie dysponuje żadnym placebo, za pomocą którego może poprawiać samopoczucie klienta, jednocześnie korzystnie wpływając na stan sprawy. W tym aspekcie lekarze mają lepiej.

Lekarz ma pod ręką badania specjalistyczne, adwokat musi liczyć na siebie. Czy pierwsze spotkanie wystarczy, czy już wtedy pan wie, jak prowadzić sprawę? Jaka daleko trzeba wybiec myślą i wyobraźnią?

Różni są adwokaci i różne są sprawy. Jeśli jednak adwokat od początku wie, jak prowadzić skomplikowaną sprawę, to jest mocno podejrzany. Aczkolwiek model adwokat pistolet niesłychanie oddziałuje na klienta, który nabiera przekonania, że oto trafił na właściwego pomocnika. Tymczasem nasza praca przypomina nieco trud szachisty, który nie tylko musi zaprojektować całość rozgrywki, ale przede wszystkim prawidłowo przewidzieć niesłychanie liczbę zmiennych oraz sposoby reakcji wariantowych, gdy sprawy przyjmą inny od oczekiwanego obrót.

To chyba jednak wyjątki?

Tak się dzieje niezwykle często. Klienci myślą, że my pracujemy

Rozregulowane prawo, rozregulowane sądy

JERZY NAUMANN

Dwadzieścia lat temu klient, przychodząc do adwokata, mógł się dowiedzieć, jak i kiedy sprawa się skończy. Dzisiaj raczej się tego nie dowie – mówi adwokat.



OLGA MAJROWSKA

prawem, a tymczasem my nim się tylko posługujemy, bo pracujemy z ludźmi.

Czego oczekują klienci? Z opowiadań wiem, że razi ich np., gdy adwokat nie wie, ile dziedziczy żona, a ile dziecko, że zagląda do kodeksu i długo szuka przepisu. To chyba trudny moment?

Wiele kwestii podstawowych rzeczywiście trzeba znać, ale praca polega na szukaniu niuansów oraz możliwości interpretacyjnych, analizie konkurencyjnych przepisów oraz szans na wylansowanie własnego poglądu, a zwykle jest ich więcej niż jeden. Pracy koncepcyjnej adwokat nie powinien prowadzić w obecności klienta, bo ten nie ma pojęcia, co się w prawniczej głowie kłębi i tylko może nabrać wątpliwości. Poza tym nawet bardzo szybko myślącemu adwokatowi zastanowienie się i rozważa nigdy nie zaszkodziły. Klient, który urządza adwokatowi teleturniej, w którym liczy się najszybsza odpowiedź, wkracza na najlepszą drogę do zaszkodzenia

własnej sprawie, chociaż dokonany wyborem może być na początku wielce ukontentowany.

A gdy adwokat trafia na sprawę trudną, nieopisaną nawet w książkach, to gdzie szuka pomocy? U kolegów, a może u aplikantów?

Dobrze jest jej szukać, gdzie tylko się da. Wielość spojrzeń na skomplikowane zagadnienie sprzyja ukształtowaniu własnego poglądu albo jego weryfikowaniu. Zależnie od usposobienia niektórym dobrze robi długi spacer po parku, po mieszkaniu lub nasiadówka w czytelni. W trudnych sprawach niektórym najlepsze pomysły przychodzą do głowy w środku nocy albo wręcz przez sen, bo adwokackie umysły miały trudne sprawy 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

Czy przebieg procesu, a zwłaszcza jego wynik, jest w Polsce przewidywalny?

Według mnie jest z tym coraz gorzej. Coraz częściej mamy do czynienia z sytuacją kompletnie

odmiennej sędziowskiej oceny tej samej sprawy – zwłaszcza jej oceny prawnej. Coraz częściej zatem wyroki są odwracane o 180 stopni w kolejnych instancjach, bo przecież ich limitu nie ma: po uchyleniu sprawa startuje od początku. Co więcej, w sprawach o tożsamym stanie prawnym oraz bardzo zbliżonym układzie tzw. okoliczności faktycznych zapadają orzeczenia względem siebie całkowicie sprzeczne. Czasem ich kierunek przesądza okęg, w którym dana sprawa jest rozstrzygnięta. Obserwacje te prowadzą do wniosku, że jednolitość orzecznictwa staje się coraz bardziej postulatem niż funkcjonującą rzeczywistością. Według mnie sytuacji tej nie porządkuje wystarczająco orzecznictwo ani Sądu Najwyższego, ani Trybunału Konstytucyjnego.

Kto jest temu winien?

Czynników jest wiele i właściwie nie wiadomo, gdzie znajduje się

znany systemom operacyjnym komputerów punkt „przywracania systemu”. Z pewnością, i jest to niemal powszechne zdanie całego środowiska prawniczego, doszło do niedopuszczalnego rozregulowania systemu prawa. Prawo w Polsce nie tylko się rozrosło, ale również skutecznie je popsuto. Przyrost przepisów jest nadmierny, a jurydyzacja życia staje się koszmarem, w którym zwykły obywatel nie jest w stanie samodzielnie się poruszać. Jednak to nie ilość regulacji jest największym problemem. Największym zlem jest fatalna jakość stanowionego prawa. Obydwa te grzechy, a więc niezrozumiałość prawa oraz fatalny poziom legislacji, należy zapisać na konto ustawodawcy, bo to on ponosi pełną odpowiedzialność za taki stan rzeczy. Dowodzi to, że – nie kwestionując zasad demokracji – w parlamencie oraz innych ośrodkach władzy „produkujących” prawo zasiadają ludzie zupełnie do tak odpowiedzialnego zadania

Sejm uchwalił 15 stycznia 2015 r. ustawę, która ma zmienić filozofię karaniami. Nie ulega wątpliwości, że to jedna z najważniejszych zmian w prawie karnym w ostatnim czasie. Celem reformy jest ograniczenie stosowania kar pozbawienia wolności w zawieszeniu.

Projektodawcy słusznie wyszli z założenia, że ta forma kary jest nadużywana. Wątpliwości budzi jednak lekarstwo, które ma uzdrowić polską politykę karną. W szczególności chodzi o rewolucyjną zmianę w stosowaniu dozoru elektronicznego.

Do tej pory dozór elektroniczny służył zakazowi wstępu na imprezę masową i był formą wykonywania kary pozbawienia wolności. W zasadzie każdy z wyrokiem nieprzekraczającym roku mógł się ubiegać o wykonywanie tej kary w systemie dozoru elektronicznego. Jeżeli sąd penitencjarny przychylił się do złożonego wniosku, skazany miał możliwość odbywania kary w swoim domu.

Po wejściu w życie uchwalony 15 stycznia 2015 r. ustawy dozór elek-

troniczny będzie mógł być zastosowany już na etapie wyrokowania jako kara ograniczenia wolności. To rewolucyjna zmiana. W tej chwili nie można przewidzieć, jak często sądy będą z niej korzystały. Nie można jednak wykluczyć, że zaczęto sięgać po dozór, ponieważ orzeczenie kary pozbawienia wolności w zawieszeniu będzie mogło nastąpić tylko wyjątkowo.

Polska może zatem w relatywnie krótkim czasie stać się jednym z krajów europejskich, w których polityce karnej najczęściej wykorzystywany będzie dozór elektroniczny.

Nie łagodniej, tylko ostrzej

Jeżeli tak się stanie, to będziemy mieli do czynienia nie ze złagodzeniem polityki karnej, jak twierdzi opozycja, lecz z jej radykalnym zaostreniem. Dozór elektroniczny ingeruje bowiem dużo głębiej w prawa i wolności konstytucyjne skazanego niż kara pozbawienia wolności orzekana z warunkowym zawieszeniem jej wykonania.

Przyszła polityka karna – wielka niewiadoma



MATERIAŁ PRASOWY

MACIEJ MAŁOLEPSZY

Gdyby grzywna, a nie ograniczenie wolności, stała się w przyszłości najczęściej orzekaną karą, uzdrowiłoby to polską politykę karną – uważa profesor.

Co więcej, ingeruje on nie tylko w konstytucyjne prawa skazanego, ale także mieszkających z nim członków rodziny. Zmiana polityki karnej może zatem dotknąć swoimi następstwami dziesiątki tysięcy rodzin, które będą na co dzień konfronto-

wane z negatywnymi skutkami skazania. Musi zatem budzić zdziwienie, że tak ważna ustawa, która może zmienić paradygmat karaniami na dziesięciolecie, przechodzi przez nasz kraj praktycznie bez żadnej debaty społecznej.

Więcej grzywnien, ale co dalej?

Nie podzielam optymizmu twórców ustawy, że w przyszłości karą dominującą będzie grzywna, która ma stanowić 60 proc. wszystkich

nieprzygotowani i niekompetentni. Co ciekawe, nie ponoszą oni żadnej odpowiedzialności za psucie prawa, a więc za psucie państwa. To, jak nieprawdopodobnie popsuto procedurę cywilną, daje o sobie znać każdego dnia w dziesiątkach sal sądowych.

Placą podsądni, obywatele...

Oczywiście bije to po kieszeni obywateli albo bezpośrednio, albo poprzez nieuzasadnione obciążenie budżetu państwa, co przecież jest tym samym. Ze świeżych przykładów mamy przypadek posła, a następnie ministra Gowina. Zapłaciłmy z własnej kieszeni setki milionów złotych za pseudoreformę sądów terenowych, a następnie za jej odwołanie. Za kilka miesięcy rozpocznie się istna katastrofa w sądownictwie karnym w związku z woluntarystycznie narzuconymi zmianami procesu karnego, do czego nikt nie jest przygotowany, a sama zmiana nie była efektem konsensusu środowiska prawniczego oraz ustawodawcy, lecz wybujałych ambicji kilku bardzo z siebie zadowolonych panów. A proces karny to nie tylko pieniądze, lecz przede wszystkim ludzka wolność i ludzkie życiorysy. Zarówno tych, którzy weszli w kolizję z prawem lub im to tylko zarzucano, jak i ofiar przestępstw. Z tych przyczyn proces karny jest doprawdy ostatnim polem, na którym można przeprowadzać eksperymenty. W obliczu złego prawa tak naprawdę wszyscy są bezradni: i sędziowie, i organy ścigania. Adwokaci także.

A internet, e-maile, komórki? Chyba jednak pomagają?

Nowe technologie mogą być użyteczne, jeśli są rozumnie wprowadzane. Jako przykład niefortunnego ich wykorzystania wielu podaje protokół elektroniczny. I nie chodzi tu o psychologiczny opór przed nowoczesnością, lecz dysfunkcjonalność zastąpienia spisanych relacji ustnych albo skrótem gubiącym istotę rzeczy, albo nagraniem, którego nikt nigdy nie będzie w stanie wysłuchać i wyselekcjonować z niego tego, co ważne. Z kolei przykładem pozytywnym jest wdrożenie digitalizacji akt sądowych, choć nie dopilnowano tu informatyków i proponowane rozwiązania, gdy chodzi o dostęp do zasobów, wymagają jeszcze bardzo wielu korekt.

Ważne jest, aby rozsałek we wdrażaniu rozwiązań cały czas podpowiadał, że mamy do czynienia z permanentnym i bardzo szybkim rozwojem technologii komputerowych. Nie można więc przyjmować kosztownych

rozwiązań, o których od razu wiadomo, że za dwa-pięć lat będą archiwalnymi.

A formalizm? Niedawno pisałem o adwokacie, który dotarł na pocztę na 40 minut przed północą i z powodu długiej kolejki i powolności obsługi nie zdążył nadać skargi kasacyjnej. Sądy nie uznają jego usprawiedliwienia.

Nie można obciążać adwokata winą za niesprawny system komputerowy, brak wystarczającej obsady personelu poczty, jego powolność lub choćby fakt, że do okienka zgłaszają się osoby z hurtowymi ilościami przesyłek do ekspedycji, co powoduje, że taki interesant obsługiwany jest godzinę. Takich nieoczekiwanych sytuacji nie da się przewidzieć, inaczej musielibyśmy oderwać się od rozmaitych okoliczności życiowych i de facto skrócić terminy zawite, ujmując np. jeden dzień.

Zawsze byłem zwolennikiem bardziej elastycznego, i to obustronnie, podejścia do drobnych uchybień w każdej z sytuacji, w której są one usprawiedliwione konkretnymi okolicznościami, często przypadkowymi. Łatwo daje się je odróżnić od niedbałego podejścia do obowiązków zawodowych i nie grozi pomieszenie uchybień niezawinionych (jak opisany) od kwalifikowanych. W takich warunkach o wiele lepiej i przyjemniej się pracuje. Obojętnie jednak, jakie mamy podejście, mamy prawo oczekiwać, aby formalizm wiązał wszystkich uczestników procesu jednakowo. Nie mamy z tym jednak do czynienia: z bicia strzela tylko sąd i wyłącznie w kierunku adwokatów.

Czy zatem prowadzenie procesu, dochodzenie do sprawiedliwości jest trudniejsze niż np. 20 lat temu, by nie sięgać do PRL?

W pewnych obszarach proces sądowy nadmiernie się rozleniwił, choć w innych szkodliwie, i tylko pozornie, skomasował. W obydwu przypadkach raczej oddaliliśmy się od przekonania, że wymierzana jest sprawiedliwość. Te ogólne uwagi odnoszę do sytuacji w dużych ośrodkach i są one oczywiście rezultatem subiektywnej obserwacji. Mogę tylko powiedzieć, że np. 20 lat temu klient, przychodząc do adwokata, mógł uzyskać informację, jak się sprawa może potoczyć i skończyć oraz ile będzie to trwało. Dzisiaj raczej się tego nie dowie, bo doświadczenie adwokackie coraz rzadziej pozwala na udzielenie odpowiedzi na oba te pytania.

A może przynajmniej praca adwokata jest przyjemniejsza?

Chętnie odpowiem na następne pytanie.

Jak powolność sądów wpływa na duchową kondycję adwokata? Kiedy gra na przedłużeniu procesu to chyba dobrze?

Prowadzenie sprawy z założeniem gry na czas poza absolutnymi wyjątkami (np. bliskie przedawnienie) jest podejściem fatalnym i jako takie sprzecznym z zasadami wykonywania zawodu adwokata. Sądy mogą zresztą takie zagrywki skutecznie powściągać, ale tu akurat formalizm często doznaje osłabienia. Mówię o przypadkach ewidentnej gry na zwłokę i drwienia z wymiaru sprawiedliwości, a nie o okolicznościach życiowych, o czym mówiliśmy przed chwilą, lub o okolicznościach uzasadnionych przebiegiem procesu. Choć wielu sędziów uważa, że jest inaczej, sprawny proces (co nie znaczy pospieszny) leży tak samo w interesie adwokatów, jak i ich klientów. Nawiasem mówiąc, leży w interesie samych sędziów, ale to już inny temat. Osobiście uważam, że, inaczej niż w popularnym porzekadle, sprawiedliwość powinna być i rychliwa, i sprawiedliwa. Adwokacka dusza wówczas nie cierpi, lecz się raduje.

A może ma pan pomysł na usprawnienie sądów? Od czego by pan zaczął?

To nie jest pytanie dla jednej głowy, ale ręczę, że odpowiedni zespół byłby w stanie wypracować program naprawy, choć to zadanie na wiele lat. Pyta pan, od czego można by zacząć? O kwestii psucia prawa już mówiliśmy, a zatem potrzeba jego naprawy jest oczywista. Równoległe wydaje się czymś absolutnie oczywistym, że musi się zmienić droga do godności sędziego, ale potrzebny jest także program naprawy kształcenia prawniczego, a następnie drogi nabywania uprawnień adwokackich, a tylko z nieśmiałością nie wypowiem się o tworzeniu kadr prokuratorskich. Czy mam kontynuować?

Tak. Wszystkie ręce na pokład...

Już teraz widać, że te postulaty, w obecnych warunkach, nie są do przeprowadzenia. Wiem, pan redaktor uważa swego rozmówcę za mizantropa i pesymistę. To najprawdopodobniej trafna ocena. Tyle tylko, że na podstawie rozmów z wielu sędziami, prokuratorami, notariuszami i kolegami adwokatami mogę powiedzieć, że jakoś strasznie dużo zrobiło nam się pesymistów... A może - realistów? ©©

— rozmawiał Marek Domagalski

Jerzy Naumann jest warszawskim adwokatem. W latach 2007 - 2010 był prezesem Wyższego Sądu Dyscyplinarnego Adwokatury.

skazań. W niezmienionej w zasadzie postaci pozostaje przecież model wykonywania kary grzywny - stąd mój sceptycyzm. Projektodawca nie docenia moim zdaniem skali problemów, jakie pojawiają się na etapie postępowania wykonawczego.

Z danych Centralnego Zarządu Służby Więziennej wynika, że w 2013 r. aż 9479 osób rozpoczęło odbywanie zastępczej kary pozbawienia wolności za grzywnę orzeczoną obok innych kar i 4414 za grzywnę samoistną. Łącznie problem ten dotyczył zatem prawie 14 tys. skazanych. Ta liczba nie pozwala w moim przekonaniu bagatelizować problemu zastępczych kar pozbawienia wolności. Jeśli do tego przyjmujemy za realistyczną prognozę projektodawcy, że w przyszłości kara grzywny będzie stanowić 60 proc. wszystkich skazań, czyli trzykrotnie więcej niż obecnie, to w konsekwencji należy liczyć się ze znacznym wzrostem liczby zastępczych kar pozbawienia wolności.

Wskazane liczby mogą się zwielokrotnić. Konieczne wydaje się

zatem udoskonalanie obecnego modelu wykonywania kary grzywny w celu uniknięcia wzrostu liczby zastępczych kar pozbawienia wolności.

Może ktoś zwróci uwagę

Drugim powodem sceptycyzmu co do szerokiego wykorzystania kary grzywny w przyszłości jest brak dyrektywy wymiaru kary, która jednoznacznie preferowałaby karę grzywny względem dozoru elektronicznego orzekanego w ramach kary ograniczenia wolności.

Ustawodawca ograniczył się do wprowadzenia dyrektywy ograniczającej stosowanie kar pozbawienia wolności w zawieszeniu, pozostawiając sądom wybór, czy zamiast niej zastosować karę grzywny, czy też ograniczenia wolności. Istnieje uzasadniona obawa, że z powodu pozostawienia modelu wykonywania kary grzywny w niezmienionej postaci sądy będą preferowały ograniczenie wolności, w tym dozór elektronicz-

ny jako jedyny obowiązek orzeczony w ramach kary ograniczenia wolności. W konsekwencji to dozór elektroniczny może stać się dominującą formą rekcji w przyszłej polityce karnej.

Należy mieć nadzieję, że wskazane problemy zostaną dostrzeżone w dalszym procesie legislacyjnym. W szczególności konieczne jest poprawienie modelu wykonywania kary grzywny oraz wprowadzenie dyrektywy wymiaru kary, która jednoznacznie preferowałaby karę grzywny względem dozoru elektronicznego orzekanego w formie kary ograniczenia wolności, tak by zapewnić grzywnie dominującą pozycję na poziomie ustawowym. Te zmiany stwarzają szansę na to, że grzywna rzeczywiście będzie najczęstszą wykorzystywaną karą w przyszłości, co uzdrowiłoby polską politykę karną. ©

Autor jest profesorem prawa na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Zielonogórskiego oraz na Wydziale Prawa Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą

FELIETON

Włodzimierz Chróścik

Dla dobra Polaków warto poświęcić nieco zysku

Kiedy jesienią 2009 r. Krajowa Rada Radców Prawnych ogłaszała program „Skuteczne prawo - tezy do reformy wymiaru sprawiedliwości”, niewielu z nas zdawało sobie sprawę, że jeden z postulatów po ponad pięciu latach okaże się aż tak aktualny. Nasz samorząd opowiadał się wówczas za zmniejszeniem kosztów sądowych. Nie jest przy tym tajemnicą, że należą do jednych z najwyższych w Unii Europejskiej. Wówczas rządzący nie podeszli do tych propozycji ze zrozumieniem. Było wiele powodów, które przemawiały za utrzymaniem stawek. Czy były racjonalne - trudno to stwierdzić. Bez wątpienia jednak finanse, na co mój samorząd jednoznacznie wskazywał, to jedna z największych barier na drodze do powszechnego dostępu obywateli do wymiaru sprawiedliwości. Pokłosie tej nierozwiązanej sprawy właśnie widzimy. „Rzecznicy konsumentów poszukiwani”, „Rzecznik na wagę złota” - krzyczą nagłówek. Rzecz właśnie w opłatach sądowych. Te zaś w wysokości 2 proc. wartości przedmiotu sporu obowiązani są wnieść Polacy, którzy czują się oszukani przez banki i postanowili dochodzić swoich praw na drodze sądowej. Wydaje się, że 2 proc. to niedużo. Tyle tylko że wartość przedmiotu sporu liczy się tu zwykle w milionach: pozew grupowy, każde

mieszkanie kupione na kredyt warte setki tysięcy złotych. 2 proc. zamienia się w 100 tys. zł - to maksymalna opłata sądowa w takich sprawach. Stąd moje koleżanki i koledzy tak poszukują pomocy rzeczników konsumenta, którzy mogą wytaczać powództwa w imieniu frankowiczów bez opłat sądowych. I tu zaczynają się schody, ponieważ - jak donoszą media - niewielu rzeczników konsumenta chce się podejmować tych trudnych spraw. Nie moją rzeczą jest dochodzić, czy frankowicze mają rację i szansę na wygraną. To rozstrzygnie niezawisły sąd. Bez wątpienia jednak w naszym kraju, który mieni się demokratycznym państwem prawa, dostęp do niego powinien być powszechny i prosty. Samorząd radców prawnych w 2009 r. dobrze zidentyfikował ryzyko związane z kwestią, o której piszę. Tyle że nikt nas wtedy nie poparł. Dziś koszty takich działań są aż nadto widoczne. Warto chyba jeszcze raz rozważyć zmianę systemu kosztów sądowych, aby nie stanowiły bariery w dochodzeniu praw. Jestem pewien, że warto poświęcić nieco „zysku”, by polskie państwo mogło i pod tym względem zbliżyć się do czołowych w Unii. ©

Autor jest dziekanem Okręgowej Izby Radców Prawnych w Warszawie

FELIETON

Jacek Kędzierski

Stać nas na bylejakość

W oknie osiedlowej budki warzywnej pojawiła się wywieszka, że oto stała się placówką pocztową InPostu. Tam, gdzie do tej pory kupowało się kartofle i przetwory warzywno-owocowe, teraz można wysłać list - pomysłem. Tam trzeba będzie również odebrać list, jeżeli w skrzynce znalazło się awizo z adresem owej „placówki”. Do tej pory wydawała listy sądowe. Najnowsze informacje są takie, że w niedalekiej przyszłości również listy z ZUS będą czekały razem z burakami i kartoflami. W „placówce” miejsca jest tyle, że z trudem mieszczą się trzy osoby... Nie wiadomo, jak położyć na ladzie formularz lub zwrotkę celem złożenia podpisu. - Chcę wysłać list - zwracam się do ekspedientki. Zdziwiona, podnosi wzrok znad gazety i odpowiada: - W naszej placówce to niemożliwe. My tylko wydajemy listy awizowane. Wychodzę bez słowa, bo odpowiedź odebrała mi mowę. Dwieście metrów dalej jest placówka pocztowa z prawdziwego zdarzenia, tj. Poczty Polskiej. Obok drzwi wejściowych wisi jeszcze orzeł w koronie, wspomnienie po dawnych czasach, kiedy to Poczta Polska była własnością państwową, czyli narodu. Wchodzę do obszernego pomieszczenia... Dwa okienka, jedno dla wpłat, drugie dla

listów i paczek... Urzędniczeki w schludnych fartuszkach. Kto zmęczony albo ma zamiar wypełnić blankiet lub zaadresować kopertę, może usiąść przy stoliku albo skorzysta z wyższego pulpitu. Temat trochę przebrzmiały, ale trwa akcja NRA zbierania adwokackich impresji na temat solidności działania InPostu. Samo doręczanie funkcjonuje jako tako. I muszę przyznać, że z biegiem czasu jego doręczyciele zaczęli się ubierać schludniej i wystawiać płynniej, tak że można już bez trudu zrozumieć cel ich wizyty. Kiedy jednak zostawiamy mi awizo, a proszę o to dość często, udaję się do placówki InPostu, odczuwam niesmak, że ów odbiór nastąpi w sklepie z warzywami. Usługi InPostu charakteryzują się bowiem jakością drastycznie niższą niż te wykonywane przez Poczta Polska. Drastycznie niższa jakość powoduje drastycznie niższą cenę i postawienie Poczty Polskiej na przegranej pozycji w przetargach na świadczenie masowych usług dla instytucji państwowych. Warunki przetargu dopuszczają bylejakość w świadczeniu usług. A może to znak czasów, w których brak jakości uważa się za jakość, byleby cena była niższa? ©

Autor jest łódzkim adwokatem